

PACJENT DOKTORA TREVELYANA

Oto przerzucam kartki pamiętników. Właściwie są to raczej chaotyczne zapiski. Na ich podstawie mam zamiar naszkicować sylwetkę mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa. Tak, ale jak to zrobić? Nie jest to wcale takie proste. Właściwie nie mogę dobrać odpowiedniego do tego celu przykładu. Żaden z tych, jakie mi się nasuwają, nie nadaje się bez zastrzeżeń. Znalazłem się rzeczywiście w trudnej sytuacji. Cóż się bowiem okazało? Oto akurat w tych sprawach, w których Holmes zabłysnął genialnymi, jemu tylko właściwymi metodami śledztwa, oraz rozumowaniem analitycznym, fabuła była nieciekawa lub pospolita. Nie, w żadnym wypadku nie nadawały się do publikacji. Ale bywało również odwrotnie. Holmes brał nieraz udział w dochodzeniach, dotyczących zdarzeń pełnych emocji i spięć dramatycznych, które silnie wstrząsnęły opinią publiczną. Cóż z— tego, skoro właśnie w takich wypadkach nie miał on okazji do wykazania w pełni swych niezwykłych zdolności i słynnej już obecnie jego metody dedukcyjnej; a w każdym razie nie w takim stopniu, jak bym sobie tego życzył jako jego biograf. Weźmy na przykład niewielką sprawę, zapisaną w moich notatkach pod tytułem Studium w szkarłacie i drugą związaną z zatonięciem statku „Gloria Scott”. W obu grozą kronikarzowi Holmesa niebezpieczeństwa podobne mitologicznej Scylli i Harybdzie.

Czasami bywa jeszcze inaczej. Sprawa nieraz wyróżnia się i budzi ciekawość mimo stosunkowo nikłego w niej udziału

mojego przyjaciela. Dotyczy to właśnie zdarzenia, które mam zamiar opisać.

Był ponury i dżdżysty dzień październikowy. Słoty do połowy zasłaniały okna w naszym mieszkaniu. Holmes leżał skurczony na kanapie. Z ranną pocztą otrzymał list i teraz czytał go po raz nie wiem który. W pokoju było gorąco. Termometr Fahrenheita wskazywał dziewięćdziesiąt stopni. Nie sprawiało mi to jednak przykrości. Podczas służby wojskowej w Indiach przywykłem bowiem do upałów i obecnie znoszę je znacznie lepiej niż zimno. Pomyślałem sobie, jakie to teraz nudny: w gazetach nie ma nic ciekawego, sesja parlamentu skończona, w mieście pustki. Ogarnęła mnie nieprzeparta tęsknota za polami New Forest lub taflą Morza Śródziemnego. Niestety, nic z tych marzeń, nic z urlopu... bo mój rachunek bankowy wyczerpany.

Mojego przyjaciela nie trapiły, takie zmartwienia. Urlop, wieś, morze... to wszystko mogło dlań nie istnieć. Nie budziło w nim najmniejszego zainteresowania. Ponad wszystko lubił życie w tym pięciomilionowym mieście. Ruchliwe; pełne nerwowego napięcia, ciekawe życie Londynu. Holmes był specjalnie wyczulony na zagadki kryminalne, a zwłaszcza na nie rozwiązane, skomplikowane morderstwa. Najmniejsza nawet wzmianka lub podejrzenie o taką sprawę budziło jego czujność i podniecało do działania.

Mój przyjaciel — jak z pewnością wiecie — miał wiele zalet. Jednej mu jednak brakowało, mianowicie zrozumienia dla uroków przyrody. Wieś uznawał tylko w jednym wypadku — gdy przestępca uciekł z miasta i trzeba go było śledzić, ewentualnie gdy na wsi dokonano jakiejś zbrodni. Tylko to było w stanie wpłynąć na zmianę jego trybu życia i tylko wtedy opuszczał Londyn. Teraz Holmes był pochłonięty

lekturą. Nie miałem więc z kim porozmawiać. Odrzuciłem nudną gazetę i wyciągnąłem się wygodnie w fotelu, pogrążając się w rozmyślaniu. Nagle przerwał je Sherlock. — Masz słuszność, Watsonie! — powiedział. — To bardzo, śmieszny sposób rozstrzygnięcia sporu.

— Bardzo śmieszny?! — zawołałem. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że... Ależ tak! Naturalnie! Przecież Holmes po prostu zawtórował moim najskrytszym myślom. Poderwałem się gwałtownie i wlepiłem w niego oczy z niemym podziwem.

— Cóż takiego, Holmesie?! — krzyknąłem wreszcie. — To przekracza wprost granice wyobraźni!

Zaśmiał się serdecznie z mego zdumienia i zakłopotania.

— Pamiętasz nowele Poego? — rzekł. — Przecież wyjątek jednej z nich niedawno ci czytałem. Przypominasz sobie? To znakomicie! Tak, właśnie! O tym precyzyjnie rozumującym człowieku. Szedł on dokładnie za nie wypowiedzianymi myślami drugiego. Traktowałeś to jako wytwór czyjejś fantazji, wydumań autora. Zwróciłem ci wówczas uwagę, że i ja postępuję dokładnie tak samo, jak ten precyzyjnie rozumujący jegomość Poego. Co ponad to, to należy tylko do mojej metody. Odniosłeś się do tego wówczas z niedowierzaniem, prawda?

— Ależ nie!

— Być może, nie wyraziłeś tego słowami, drogi Watsonie! Zdradziło cię jednak charakterystyczne ściągnięcie brwi. Wiesz przecież, że twarz ludzka jest dla dobrego psychologa otwartą księgą. A więc, gdy przed chwilą odrzuciłeś gazetę, pogrążając się w rozmyślaniach, spróbowałem przeprowadzić mały eksperyment. Świetnie — pomyślałem — nadarza się znakomita okazja. Odczytam twe myśli i w pewnym punkcie

przerwę je. W ten sposób dowiodę, iż pozostawałem z tobą w kontakcie duchowym. Wyjaśnienie Holmesa nie zaspokoilo jednak mojej ciekawosci.

— W przytoczonej nowelce Poego — rzekłem — czlowiek ściśle rozumujący wyciągał wnioski na podstawie obserwacji zachowania się i ruchów drugiego czlowieka. Jeśli sobie dobrze przypominam, to chodziło o przechodnia, który potknął się o kupę kamieni, czlowieka, który patrzył na gwiazdy, itd. Ja natomiast siedziałem spokojnie w fotelu. Moje zachowanie nie dało ci żadnych wskazówek. Cóż więc mogłeś zaobserwować?

— Jesteś niesprawiedliwy... dla siebie — odparł Holmes. — Rysy twarzy są przecież znakomitym wykładnikiem uczuć ludzkich. I właśnie twoje rysy wiernie je oddawały.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że odczytałeś moje myśli...?

— Z rysów twarzy, a przede wszystkim z wyrazu twych oczu. Być może, nie przypominasz sobie, w jaki sposób wpadłeś w zamyślenie?

— Nie, nie pamiętam.

— A więc opowiem ci, jak to się zaczęło. Zwróciłem na ciebie uwagę w chwili, kiedy odrzuciłeś gazetę. Potem pół minuty siedziałeś bezmyślnie, a następnie wzrok twój skierował się ku nowo oprawionemu wizerunkowi generała Gordona. Wówczas zaszła pewna zmiana. Twarz ci się nieco ożywiła. Było to oznaką, że proces myślowy rozpoczął się. To jednak nie dało mi wiele. Po chwili rzuciłeś okiem na portret bez ram Henryka Ward Beechera, oparty o ścianę nad twoimi książkami. W końcu spojrzaleś na ścianę. I w rezultacie rozumowanie twoje stało się dla mnie jasne. Pomyślałeś tak:

„gdyby portret oprawić, to zajęłoby on puste miejsce na ścianie, stanowiąc odpowiednik wizerunku Gordona”.

— Wspaniale to odgadłeś! — zawołałem.

— Dotychczas wszystko było proste. Trudno wprost o pomyłkę. Następnie jednak powróciłeś myślami do Beechera. Patrzyłeś nań tak przenikliwie, jakbyś chciał poznać dokładnie jego charakter. Po pewnym czasie naprężenie minęło, ustępując zadumie. Przestałeś mrużyć oczy, nie odrywałeś ich jednak nadal od obrazu. Rozmyślałeś, o życiu i karierze Beechera. Oczywiście nie mogłeś pominąć misji, jakiej się podjął na rzecz Północy podczas wojny domowej. Wiedziałem o tym doskonale. Pamiętałem przecież nasze dawne dyskusje na ten temat. Namiętnie potępiłeś wówczas sposób, w jaki przyjęli Beechera przeciwnicy. Byłeś tym nadzwyczaj podniecony i do głębi przejęty. Nie ulegało więc najmniejszej wątpliwości, że myśląc o Beecherze musiałeś jednocześnie przypomnieć sobie i o tym wypadku. Jedno i drugie kojarzyło się bowiem w, twojej pamięci w nierozzerwalną całość. Gdy więc w chwilę później spostrzegłem, jak wzrok twój ześliznął się powoli z portretu, pomyślałem, iż myśli twoje na pewno są nadal zaprzątnięte wojną domową. Wtem zmieniłeś się na twarzy. Usta zacięły się, oczy poczęły sypać skry. Potwierdzało to moje domysły. Wspominałeś zapewne męstwo, jakie wykazały obie strony walczące w tych rozpaczliwych zmaganiach. Wnet jednak znów się zachmurzyłeś. Pokiwałeś w zadumie głową. A więc zastanawiałeś się wtedy nad okropnościami wojny i marnowaniem życia ludzkiego. W końcu ręka twoja powędrowała ku twej starej, zabliznionej ranie, na wargach zaś wykwitł uśmiech. Cóż cię tak nagle rozbawiło? Czyżby śmieszność takiej metody załatwiania sporów

międzynarodowych, jaką jest wojna? Ależ tak. W zupełności podzielam twe zdanie — to śmieszne i głupie! Ucieszyłem się! Wszystkie moje dedukcje okazały się trafne!

— Całkowicie! — potwierdziłem. — I muszę przyznać, że po tym wyjaśnieniu jestem dla ciebie pełen podziwu; zresztą tak jak i przedtem.

— Ależ to było bardzo łatwe, mój drogi Watsonie! Nie wspominałbym ci o tym, gdyby nie twe niedowierzenie. Popatrz! Wreszcie trochę wiatru. Zapowiada się piękny wieczór. Co byś powiedział na małą przechadzkę po Londynie?

Właściwie znudziło mi się już to przesiadywanie w naszej małej bawialni. Z radością więc zgodziłem się na jego propozycję. Trzy godziny spacerowaliśmy po mieście. Życie zmieniało się tu jak w kalejdoskopie. Przez Fleet Street i Strand nieustannie przelewały się w obu kierunkach tłumy ludzi, a środkiem płynęły nie kończące się strumienie pojazdów. Idąc przez to „mrowisko” gawędziliśmy. Lubiałem takie rozmowy, gdyż stanowiły dla mnie prawdziwą rozrywkę. Holmes rzucał co chwilę jemu tylko właściwe, ciekawe i dowcipne uwagi. Cechowała je niespotykana wprost umiejętność obserwacji życia, a zaskakiwała precyzja rozumowania. Po jego wyjaśnieniach wszystko, co zdawało się przedtem niezrozumiałe, stawało się jasne i proste. Na Baker Street wróciliśmy po godzinie dziesiątej. Przed bramą naszego domu stał powóz.

— Hm! Powóz jakiegoś lekarza, jak przypuszczam... doktora wszech nauk lekarskich — rzekł Holmes. — Niedługo praktykuje, lecz ma dużo pracy. Przyjechał chyba po poradę. Dobrze się składa, iż wróciliśmy.

Znałem już wystarczająco dobrze metody Holmesa, aby móc podjąć jego rozumowanie. Ponadto mój zmysł obserwacji wyczulił się wskutek ciągłego obcowania z Sherlockiem. Zaraz też spostrzegłem we wnętrzu powozu wiklin nowy koszyk, pełen różnych instrumentów lekarskich, lśniących w blasku latarni, które dostarczyły mojemu przyjacielowi podstawy do błyskawicznej dedukcji. Ponadto oświetlone okna mieszkania świadczyły, iż właśnie do nas przybył ów wieczorny gość.

Byłem trochę zaintrygowany tą wizytą. Podążając za Holmesem do domu zastanawiałem się, co mogło sprowadzać do nas lekarza o tak późnej porze.

Weszliśmy do mieszkania. Z fotela przy kominku podniósł się blady mężczyzna. Jego lśniącą twarz okalały płowego koloru bokobrody. Nie miał więcej, jak 33 lub 34 lata, jednak, wynędzniała twarz i zniszczona cera świadczyły o niezdrowym trybie życia, podkopującym jego siły. Klasyczny okaz młodego starca. Wstając, oparł o gzyms kominka białą, smukłą ręką. Była to raczej dłoń artysty niż chirurga. Ubranie jego stanowiły, czarny anielez i ciemne spodnie, a do tego krawat w delikatnym odcieniu.

— Dobry wieczór, doktorze! — powitał go wesoło Holmes. — Sądzę, że nie czekał pan długo, zaledwie kilka minut.

— Rozmawiał pan z moim woźnicą?

— Nie! Poznałem to po lichtarzu palącym się na stoliku. Ale proszę uprzejmie, niech pan zajmie na powrót swe miejsce i powie, czym mu mogę służyć.

— Moje nazwisko jest Percy Trevelyan, doktor — rzekł nasz gość. — Mieszkam na Brook Street nr 403.

— Czy to pan jest autorem monografii o nieznanym schorzeniach nerwowych? — spytałem.

Jego blade policzki zaróżowiły się z zadowolenia, gdy usłyszał, iż jego praca jest mi znana.

— Tak rzadko słyszałem o mojej książce... iż właściwie traktowałem ją jako całkowicie zapomnianą — odparł.

— Moi wydawcy niewiele jej egzemplarzy sprzedali i byli niezadowoleni. Książka „nie szła”. Pan, zdaje się, też jest lekarzem?

— Emerytowany chirurg wojskowy.

— Mnie zawsze bardzo interesowały choroby nerwowe.

Chciałbym też specjalizować się wyłącznie w tej dziedzinie.

Ale początkujący lekarz nie ma wyboru. Musi brać taką pracę, która zapewni mu byt. Przepraszam, lecz odbiegłem od

tematu, Mr Sherlock Holmes, a zdaję sobie doskonale sprawę, jak cenny jest pana czas. Wracam więc do rzeczy. W domu na

Brook Street, w którym mieszkam, miał miejsce szereg dziwnych wypadków. Dzisiejszej nocy przebrała się miarka.

Postanowiłem więc nie czekać ani

chwili dłużej i zwrócić się bezzwłocznie do pana po pewne wskazówki i pomoc. Sherlock Holmes usiadł i zapalił fajkę.

— Bardzo chętnie poradzę i pomogę — powiedział. — Proszę uprzejmie. Niech pan mi dokładnie opowie o tych wypadkach. Cóż pana tak zaniepokoiło?

— Niektóre z nich są na pozór zupełnie błahe — rzekł dr Trevelyan. — Po prostu wstyd mi o nich wspominać. Cała sprawa jest jednak bardzo niejasna. Ostatnio zaś przyjęła taki obrót, iż wygląda na z góry uplanowaną akcję. Najlepiej wszystko panu dokładnie opowiem, a pan wtedy oceni, co jest istotne i ważne, a co nie.

Zacznę od paru szczegółów dotyczących mej pracy naukowej.

Ukończyłem Uniwersytet Londyński. Profesorowie — proszę tego nie uważać za niepotrzebne przechwałki — uznawali

moją działalność naukową za bardzo obiecującą. Po uzyskaniu dyplomu kontynuowałem nadal swoje badania, zajmując skromne stanowisko w Kings College Hospital. Miałem szczęście. Moje osiągnięcia w dziedzinie patologii wzbudziły wielkie zainteresowanie. W rezultacie uzyskałem nagrodę Bruce Pinkertona i medal za monografię na temat schorzeń nerwowych, o której wspomniał już przedtem pański przyjaciel. Podówczas panowało powszechne przekonanie, iż czeka mnie wielka kariera naukowa. Nie ma w tym wcale przesady.

Niestety, wielką przeszkodę stanowił dla mnie brak potrzebnych pieniędzy. Jak pan się orientuje, specjalista, który marzy o sławie, musi zaczynać praktykę na jednej z dwunastu ulic w Cavendish Square. A tam, niestety, trzeba płacić ogromny czynsz dzierżawny oraz wydać mnóstwo pieniędzy na kosztowne wyposażenie gabinetu lekarskiego. Poza tym wstępnym wydatkiem specjalista taki musi się liczyć również z koniecznością utrzymywania się przez kilka lat z własnych funduszków, a nadto mieć do swej dyspozycji reprezentacyjny pojazd i konia. Przekraczało to moje możliwości. Mogłem jedynie żywić nadzieję, iż w ciągu dziesięciu lat uda mi się zaoszczędzić potrzebną kwotę. Nagle jednak zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego. Otworzyły się przede mną zupełnie nowe widoki na przyszłość.

Zdarzeniem tym była wizyta Mr Blessingtona, którego zresztą wcale przedtem nie znałem. Któregoś fanka przyszedł do mnie i od razu przystąpił do sprawy.

— Pan jest tym Percy Trevelaynem, który rozpoczął świetną karierę i uzyskał wielką nagrodę? — spytał. Przytaknąłem. — Niech pan odpowiada mi szczerze — ciągnął dalej — gdyż przekona się pan, iż leży to w jego interesie. Posiada pan

wszelkie uzdolnienia, które zapewniają sukces. Tylko czy jest pan taktowny?

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Bo też pytanie postawił on w tak nieodpowiedni sposób.

— Wydaje mi się, iż cecha ta jest mi do pewnego stopnia właściwa — odparłem.

— A nie ma pan nałogów? Zwłaszcza skłonności do alkoholu? Co?

— Wypraszam to sobie...! — krzyknąłem.

— Całkiem słusznie! Wszystko w porządku. Musiałem jednak o to pana zapytać. Dlaczego więc, posiadając te wszystkie kwalifikacje, nie ma pan praktyki lekarskiej?

Wzruszyłem tylko ramionami.

— Wiem, wiem — powiedział żywo. — To znana historia: Więcej w głowie niż w kieszeni. Hę? Co by pan na przykład powiedział na otwarcie praktyki lekarskiej na Brook Street? Spojrzałem na niego zdumiony.

— Och! Robię to z myślą o swojej, a nie o pańskiej wygodzie!

— zawołał. — Jestem wobec pana zupełnie szczery. Jeśli moja propozycja tylko odpowiada panu, to dla mnie jest ona bardzo korzystna. Mam kilka tysięcy kapitału do ulokowania i zamierzam zainwestować je w pana.

— Ale dlaczego? — spytałem zdławionym ze wzruszenia głosem.

— Po prostu spekulacja, jak każda inna. Tylko, że pewniejsza od wielu z nich.

— Cóż mam więc robić?

— Zaraz panu powiem. Ja wynajmę dom, wyposażę jak trzeba, opłacam służbę i poprowadzę cały zakład. Do pana obowiązków należeć będzie praca w gabinecie lekarskim. Oczywiście, może pan mieć własne pieniądze i w ogóle co pan

chce. Mnie odda pan trzy czwarte swych zarobków, a jedną czwartą zachowa pan sobie.

Tę osobliwą propozycję, Mr Holmes, postawił mi niejaki Blessington. Nie będę pana nudził opowiadaniem o szczegółach naszych targów i układów. Podam tylko ostateczny wynik. Nazajutrz po święcie Zwiastowania (25 marca) zamieszkałem we wskazanym mi domu. Praktykę lekarską zaś rozpocząłem na warunkach bardzo zbliżonych do tych, jakie mi zaproponował. Blessington zamieszkał ze mną w charakterze stałego pacjenta. Jak się potem okazało, miał słabe serce i potrzebował opieki lekarskiej.

W dwóch najlepszych pokojach pierwszego piętra urządził sobie gabinet i sypialnię. Był to dziwak unikający towarzystwa. Z domu wychodził bardzo rzadko. Prowadził nieregularny tryb życia, z jednym jedynym wyjątkiem. Otóż co wieczór przychodził o tej samej porze do mojego gabinetu, by sprawdzić książki i kasą. Potem wyplacał mi za każdą zarobioną przeze mnie gwineę 5 szylingów i 3 pensy, a resztą pieniędzy zabierał do kasy, która znajdowała się w jego pokoju.

W zaufaniu mogą panom powiedzieć, że Blessington nigdy nie miał najmniejszego powodu żałować interesu, jaki ze mną zrobił. Kilku pomyślnie wyleczonych pacjentów i rozgłos zdobyty w szpitalu szybko utorowały mi drogą do sławy. W ciągu ostatniego roku, względnie dwóch lat, uczyniłem go bogatym człowiekiem.

Tyle, Mr Holmes, o moich losach i stosunkach z Mr Blessingtonem. Teraz pozostaje mi tylko wyjaśnić, co sprowadziło mnie do pana dzisiejszej nocy.

Kilka tygodni temu Mr Blessington podczas jednej ze swych codziennych wizyt wyglądał na ogromnie podnieconego.

Opowiadał o jakimś włamaniu w dzielnicy West End i, o ile pamiętam, zupełnie niepotrzebnie przejmował się tym wypadkiem. Mówił nawet, że powinniśmy bezzwłocznie założyć mocniejsze zasuwy u naszych drzwi i okien. Potem przez cały tydzień był bardzo niespokojny. Wciąż wyglądał przez okna. Zaprzestał też krótkich spacerów, które odbywał zwykle przed obiadem. Niewątpliwie dręczył go paniczny strach. Tylko czego, lub kogo się bał? Gdy zapytałem go o to, stał się tak agresywny, iż zmuszony byłem poniechać tej sprawy. Stopniowo, w miarę upływu czasu, jego obawy zdawały się ustępować. Powrócił nawet do swych dawnych zwyczajów. Wtem nowe wydarzenie ponownie nim wstrząsnęło. Popadł w stan budzącej litość depresji duchowej, pod której wpływem do dziś pozostaje.

Jak do tego doszło...? Otóż przed dwoma dniami otrzymałem list bez daty i adresu nadawcy. Odczytam go teraz:

Rosjanin szlacheckiego rodu, który obecnie stale mieszka w Anglii, z radością skorzysta z porady lekarskiej doktora Trevelyan. Od szeregu lat cierpi on na ataki katalepsji. W tej zaś dziedzinie doktor Trevelyan jest powszechnie uznanym autorytetem. Proponuję on więc wizytę jutro około 15 minut po szóstej wieczorem, jeśli naturalnie termin ten odpowiada doktorowi Trevelyanowi.

List bardzo mnie zainteresował. Katalepsja występuje bardzo rzadko, i na tym właśnie polega główna trudność studiów nad tą chorobą. Jak pan może się spodziewać, oczywiście czekałem w swym gabinecie, gdy o oznaczonej godzinie odzwierny zaanonsował pacjenta.

Był to starszy już człowiek, chudy, o wyglądzie pospolitym. W żadnym wypadku nie wyglądał na rosyjskiego arystokratę. O wiele więcej zainteresował mnie jego młody towarzysz.

Wyglądał na Herkulesa: wysoki i muskularny, o masywnej klatce piersiowej i ciemnym suchawym obliczu. Ponadto Herkules ten był nadzwyczaj przystojny. Gdy wchodził, trzymał starszego pod rękę, potem pomógł usiąść z troskliwością, o którą trudno go było posądzić na podstawie wyglądu.

— Niech mi pan wybaczy, doktorze, iż wszedłem razem z ojcem — rzekł po angielsku lekko sepleniąc — lecz jego zdrowie stanowi dla mnie sprawę wielkiej wagi.

Ta synowska troskliwość do głębi mnie wzruszyła.

— Może chciałby pan być obecny przy badaniu? — zapytałem.

— Za żadne skarby! — zawołał przerażony. — Byłoby to dla mnie bardziej bolesne, niż mogę to wyrazić. Och? Nie chciałbym zobaczyć swego ojca podczas jednego z tych okropnych ataków. Chyba bym tego nie przeżył! Mam nadzwyczaj wrażliwe nerwy. Jeśli pan pozwoli, zostanę na czas konsultacji w poczekalni.

— Ależ naturalnie — zgodziłem się.

Młody człowiek opuścił pokój. Wówczas pogrążyliśmy się wraz z pacjentem w rozmowie na temat jego choroby.

Wszystko skrzętnie notowałem. Nie wyróżniał się on inteligencją. Często dawał niejasne odpowiedzi, co jednak mogło być wynikiem słabej znajomości angielskiego. Raptem jednak zamilkł. Czyniłem właśnie notatki. Gdy odwróciłem się ku niemu, wstrząsnął mną widok, jaki ujrzałem. Chory siedział w fotelu zeszywniały, patrząc na mnie bez jakiegokolwiek

wyrazu, jakby niewidzącym wzrokiem. Twarz miał martwą jak w letargu. Uległ znowu atakowi tej tajemniczej choroby. Litość i przerażenie — oto pierwsze uczucia, które mną owładnęły. Po chwili jednak ustąpiły one chyba uczuciu zawodowego zadowolenia. Zbadałem więc i zapisałem tętno i temperaturę chorego. Skontrolowałem odruchy i napięcie mięśni. Badania nie wykazały żadnych większych odchyłeń od normy. Pokrywało się to z moim dotychczasowym doświadczeniem. W wypadkach tego rodzaju schorzeń uzyskiwałem dobre wyniki, stosując azotan amylu. Oto więc miałem okazję do zastosowania tego środka. Obecny przypadek z pewnością potwierdzi jego zalety. Butelka z lekarstwem znajdowała się w moim laboratorium w piwnicy. Pozostawiłem więc pacjenta siedzącego w fotelu i pobiegłem po nią. Uplłynęło trochę czasu, powiedzmy pięć minut, zanim ją znalazłem. Wreszcie powróciłem do gabinetu, i proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy... nikogo nie zastałem. Pod wpływem pierwszego impulsu zajrzałem do poczekalni. Pusto. Zniknął również syn mojego pacjenta. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale nie na klucz. Odźwierny, wpuszczający pacjentów, pracuje u mnie od niedawna. Jest bardzo powolny. Zazwyczaj czeka na dole, dopiero na dźwięk dzwonka z mego gabinetu przychodzi, aby wyprowadzić pacjenta. Naturalnie niczego nie słyszał. Cała sprawa pozostała więc nie wyjaśniona. Wkrótce potem wrócił ze spaceru Mr Blessington: O niczym mu jednak nie wspominałem. Mówiąc bowiem szczerze, ostatnio starałem się jak najmniej z nim rozmawiać. Nie spodziewałem się już nigdy zobaczyć Rosjanina i jego syna. Toteż może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy dziś wieczorem znów mnie odwiedzili. Dokładnie o tej samej

godzinie i w identyczny sposób jak poprzednio zjawili się w moim gabinecie.

— Zdaję sobie sprawę, doktorze, iż powinienem się usprawiedliwić i przeprosić pana za wczorajsze nagłe zniknięcie — powiedział pacjent.

— Rzeczywiście, bardzo mnie to zaskoczyło — odparłem.

— Otóż to! Całe nieszczęście, że po przejściu ataku tracę pamięć. Ocknąłem się wówczas w obcym, jak mi się zdawało, pokoju i podczas pana nieobecności wyszedłem na ulicę jakby w pewnego rodzaju transie hipnotycznym.

— A ja — dodał syn — widząc ojca przechodzącego przez poczekalnię przypuszczałem, iż wizyta dobiegła końca. Dopiero w domu stopniowo zbadałem całą sprawę.

— Dobrze — powiedziałem ze śmiechem — nic złego się nie stało. Jedynie zaintrygował mnie ogromnie pana ojciec. Toteż, jeśli będzie pan uprzejmy przejść do poczekalni, z przyjemnością przystąpię do badania, które tak nieoczekiwanie zostało wczoraj przerwane.

Mniej więcej w ciągu pół godziny omówiłem ze starszym panem objawy choroby. Zapisałem kurację i oddałem go synowi pod opiekę.

Działo się to, jak panu wspomniałem, w porze codziennej przechadzki Mr Blessingtona. Wkrótce po tym wrócił i poszedł do siebie na górę. Lecz za chwilę usłyszałem, jak zbiega po schodach. Wpadł do mego gabinetu, a w jego oczach malowało się obłądne przerażenie.

— Kto był w moim pokoju? — zacharczał nieswoim głosem.

— Nikt! — odparłem.

— To kłamstwo! — krzyknął. — Chodź i zobacz!

Jakżeż ordynarnie się zachowywał. Tak! Ale strach niejednego doprowadza do ataku hysterii lub utraty przytomności. Nie

zareagowałem więc na to i poszliśmy na piętro. Po drodze pokazywał mi liczne ślady nóg na chodniku.

— Czy pan myśli, że to moje ślady? — krzyczał. Nie, z całą pewnością. Ślady były o wiele większe od stóp Blessingtona i zupełnie świeże. Jak panu wiadomo, Mr Holmes, po południu mocno padało i nikt mnie dziś nie odwiedzał, oprócz dwu wspomnianych już pacjentów. Cała ta więc historia odbyła się prawdopodobnie w sposób następujący: W czasie gdy badałem pacjenta, jego syn miał siedzieć w poczekalni. Jednak z jakiegoś nie znanego mi powodu wszedł do pokoju mego chorego rezydenta. Co prawda niczego nie ruszał, ani nie zabrał, niemniej sam fakt wtargnięcia do cudzego mieszkania był bezsporny. Dowodzą tego zresztą ślady stóp. Mr Blessington wydawał się bardziej poruszony, niż mogłem się tego spodziewać. Chociaż, prawdę mówiąc, było dosyć powodów do irytacji, i każdy na jego miejscu straciłby panowanie nad sobą. Padł na fotel krzyząc tak przeraźliwie, iż z trudem mogłem z nim rozmawiać. Wreszcie podsunął mi myśl, aby udać się do pana. Bez wątplenia dobry pomysł. Cała bowiem sprawa jest nieco podejrzana. Sądzę jednak, iż Mr Blessington wyolbrzymia chyba jej znaczenie. Jeżeli zdecyduje się pan pojechać ze mną powozem, to może uda się panu nakłonić go do rozmowy. Chociaż nie liczę na to, aby wyjaśnił panu to dziwne zajście.

Sherlock Holmes w napięciu słuchał przydługiego opowiadania, widocznie zainteresowany sprawą. Jednak oblicze jego, jak; zawsze, pozostało nieprzeniknione, a ociężałe powieki przysłaniały niemal oczy. Tylko dym z fajki kłębił się mocniej, jakby dla podkreślenia ciekawszych momentów opowiadania doktora. Gdy gość nasz skończył, Holmes zerwał się bez słowa. Podał mi mój kapelusz, chwycił

swój i ruszył za doktorem Trevelyanem ku wyjściu. W ciągu piętnastu minut znaleźliśmy się przed drzwiami domu lekarza na Brook Street — przed jednym z tych ponurych, brzydkich budynków, w jakich z reguły praktykowali lekarze West Endu. Odźwierny niskiego wzrostu otworzył nam bramę.

Niezwłocznie udaliśmy się na piętro po schodach wysłanych chodnikiem.

Nagle zgasło górne światło klatki schodowej. Zapanowały kompletne ciemności. Stanęliśmy jak wryci. I wówczas dobiegł nas rozdygotany, skrzeczący głos.

— Mam pistolet — wrzeszczał. — Ostrzegam! Będę strzelał, jeśli się chociaż o krok zbliżycie.

— Ależ to wprost oburzające! — krzyknął dr Trevelyan.

— Ach! To pan, doktorze? — spytał głos z ciemności, a towarzyszyło mu głębokie westchnienie ulgi. — Czy jednak ci pozostali panowie są tymi, za których się podają?

Znów cisza. Staliśmy się przedmiotem długiej i bacznej obserwacji. Czuliśmy to wyraźnie.

— No tak! Wszystko w porządku — odezwał się wreszcie głos z ciemności. — Możecie panowie wejść na górę. Bardzo przepraszam, jeśli wskutek zastosowanych przeze mnie środków ostrożności sprawiłem panom jakąś przykrość. — Mówiąc te słowa zapalił ponownie lampę gazową na schodach. Ujrzeliśmy wówczas niepozornego człowieka, którego wygląd i głos świadczyły o kompletnie roztrzęsionych nerwach. Był bardzo gruby, chociaż dawniej musiał być jeszcze grubszy. Skóra bowiem wokół twarzy zwisała w luźnych fałdach, podobnie jak u buldoga. Wyglądał na chorego. Włosy jeżyły mu się jakby pod wpływem śmiertelnego strachu. W ręku trzymał pistolet, który schował do kieszeni, gdyśmy doń podeszli.

— Dobry wieczór, Mr Holmes — . powiedział. — Bardzo jestem panu wdzięczny za przybycie. Nikt chyba bardziej nie potrzebuje pańskich rad niż ja. Z pewnością dr Trevelyan opowiedział panu o tajemniczym i niepokojącym wtargnięciu do mojego pokoju?!

— Tak jest — rzekł Holmes. — Co to za ludzie, ci dwaj intruzi, Mr Blessington? I dlaczego pana dręczą?

— Dobrze, dobrze... — odparł nerwowo mój chory rezydent.

— Eh! To nie tak łatwo określić. Trudno oczekiwać, bym panu, Mr Holmes, odpowiedział na to pytanie.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan nic nie wie?

— Proszę tutaj, jeśli łaska. Bądź pan tak dobry wejść do środka. — Wprowadził nas do wielkiej, komfortowo urządzonej sypialni. — Niech pan na to spojrzy! — wskazał na wielką, czarną kasę, stojącą przy łóżku. — Mr Holmes, nigdy nie byłem zbyt bogaty. Nie dokonałem też w życiu żadnej inwestycji z wyjątkiem jednej, o której opowie panu dr Trevelyan. Bankom jednak nie dowierzam. W żadnym wypadku nie zaufam bankierowi, Mr Holmes. Między nami mówiąc, niewiele mam w tej kasie. Ale zdaje pan sobie sprawę, co dla mnie znaczy, gdy nieznani osobnicy włamują się do moich pokojów.

Holmes wpatrywał się w Blessingtona we właściwy mu, badawczy sposób. Wreszcie potrząsnął głową.

— Nie potrafię udzielić rady, jeśli pan nie będzie mówił prawdy — odrzekł.

— Ależ ja panu wszystko powiedziałem!

Holmes odwrócił się od niego z gestem obrzydzenia.

— Dobranoc, doktorze Trevelyan — powiedział.

— I nie otrzymam żadnej rady? — krzyknął łamiącym się głosem Blessington.

— Mówić prawdę! Oto moja rada, sir!

W chwilę później znaleźliśmy się na ulicy. Szliśmy spacerem ku domowi. Minęliśmy Oxford Street i dotarliśmy do połowy Harley Street, zanim mój przyjaciel wyrzekł pierwsze słowa.

— Przykro mi, Watsonie — powiedział wreszcie — iż fatygowałem cię w tak ciemnej sprawie. Chociaż to nawet interesujący wypadek, a zwłaszcza tło, na którym jest osnuty.

— Niewiele zrozumiałem z tej całej historii — wyznałem.

— No widzisz! Istnieje dwu ludzi albo może więcej, w każdym razie co najmniej dwu, którzy z jakiegoś tam powodu zdecydowali się dobrać do tego jegomościa... Blessingtona. To wprost rzuca się w oczy. Moim zdaniem było to tak: Młody człowiek zakradł się do pokoju Blessingtona, podczas gdy jego wspólnik w bardzo pomysłowy sposób zatrzymywał doktora na, dole.

— A katalepsja?

— Po prostu ten oszust udawał, Watsonie! Chociaż przykro by mi było powiedzieć to naszemu specjalście. Chorobę tę bardzo łatwo symulować. Sam to też robiłem.

— No i co dalej?

— Blessington za każdym razem był nieobecny. Dlaczego wybrali oni tak niezwykłą porę na badanie lekarskie? Chodziło im oczywiście o to, aby w tym czasie w poczekalni, nie było innych pacjentów. Tak się jednak złożyło, iż właśnie w tym samym czasie Blessington miał zwyczaj chodzić na przechadzkę. Widocznie nie znają dokładnie jego trybu życia. Cóż mogło być ach celem? Naturalnie nie rabunek! Nic bowiem nie zginęło. Poza tym Blessington boi się okropnie o swoją skórę, co łatwo wyczytać z jego oczu. Obaj prześladowcy wyglądają na jego nieubłaganych wrogów. Zupełnie niemożliwe, aby miał takich wrogów, nie wiedząc o

tym. A więc on wie, kim są ci ludzie, lecz ukrywa ten fakt z siebie tylko wiadomych przyczyn. To zupełnie jasne. No, zobaczymy. Może jutro stanie się bardziej rozmowny.

— A czy nie istnieje inne wyjaśnienie — zaryzykowałem przypuszczenie — co prawda mało prawdopodobne, ale jednak możliwe? Przypuśćmy, iż dr Trevelyan w jakimś osobistym celu dostał się do pokojów Blessingtona i wymyślił tę całą historię z Rosjaninem — kataleptykiem i jego synem. W świetle gazowej latarni ulicznej spostrzegłem, jak Holineś uśmiecha się rozbawiony, w trakcie gdy wygłaszałem swą „świąteczną” hipotezę.

— Mój drogi przyjacielu — odparł — to było jedno z pierwszych rozwiązań, jakie mi przyszły do głowy. Wkrótce jednak miałem możliwość sprawdzić, iż doktor mówił prawdę. Młody człowiek zostawił ślady na chodniku, na schodach. Otóż miał on buty o szerokich nosach i większe o 1 i 1/3 cala niż Trevelyan, który nosi obuwie węższe i ostro zakończone. W żadnym razie nie mógł to być doktor. Zgodzisz się chyba ze mną? Chwilowo jednak możemy temu wszystkiemu dać spokój. Byłbym bowiem bardzo zdziwiony, gdybyśmy jutro rano nie otrzymali dalszych wiadomości z Brook Street.

Przewidywania Holmesa rychło się sprawdziły, i to w dramatyczny sposób. Następnego dnia, gdy się przebudziłem (była godzina wpół do ósmej), w świetle mglistego poranka ujrzałem Sherlocka, stojącego w szlafroku przy moim łóżku.

— Watsonie, powóz czeka na nas na dole! — Co się znów stało?

— Sprawa Brook Street.

— Coś nowego?

— Tragiczna i niejasna historia — odpowiedział, podnosząc storę. — Przeczytaj to zresztą.

Na kartce wydartej z notesu ktoś w pośpiechu ołówkiem napisał:

Zaklinam na wszystko! Proszę niezwłocznie przybyć — P.T.

— Nasz przyjaciel, doktor, musiał być do głębi wstrząśnięty, gdy kreślił te słowa. Chodź, mój drogi! To pilne wezwanie! Mniej więcej w ciągu kwadransa znów znaleźliśmy się w rezydencji lekarza. Wybiegł nam na spotkanie, a przerażenie malowało się na jego twarzy.

— Och! Co za nieszczęście! — zawołał łapiąc się za skronie.

— Cóż takiego?

— Blessington popełnił samobójstwo!

Holmes gwizdnął przeciągle.

— Tak! Powiesił się w nocy! — dodał dr Trevelyan.

Weszliśmy do wnętrza, a doktor zaprowadził nas do swej poczekalni.

— Sam nie wiem, co mam robić! — krzyknął. — Policja już jest na górze. Jestem do głębi wstrząśnięty tym wypadkiem.

— Kiedy pan go znalazł?

— Codziennie rano zanoszono mu herbatę. Gdy pokojowa weszła o siódmej rano, nieszczęśnik wisiał pośrodku pokoju. Sznur przywiązał do haka, na którym wisiła ciężka lampa, potem założył pętlę na szyję i zeskoczył ze szczytu kasy, którą pokazywał nam wczoraj.

Holmes stał chwilę pogrążony w głębokiej zadumie.

— Jeśli pan pozwoli — rzekł w końcu — to chciałbym pójść na górę i zobaczyć, jak się sprawa przedstawia.

Weszliśmy po schodach wraz z doktorem, który włókł się za nami. Gdy przekroczyliśmy próg sypialni, oczom naszym przedstawił się okropny widok. Blessington był — jak już

wspomniałem — bardzo otyły, a skóra zwisała mu fałdami jak u buldoga. Wrażenie to potęgowało się jeszcze teraz, gdy tak wisił w dziwnej pozie, kołyszając się. Trudno wprost było dopatrzeć się w jego wyglądzie jakichś cech ludzkich. Kark miał skrzyżowany w taki sposób, iż reszta ciała prawem kontrastu wyglądała jeszcze bardziej otyło i nienaturalnie. Miał na sobie tylko długą koszulę nocną. Spod niej sztywno sterczały obrzękłe kostki i zniekształcone stopy. Obok stał energicznie wyglądający inspektor policji i zapisywał coś w swym kieszonkowym notesie.

— Ach! Mr Holmes! — serdecznie powitał mego przyjaciela, gdy ten wszedł. — Jestem zachwycony, iż pana, widzę.

— Dzień dobry, Lanner — odparł Holmes. — Nie uważa mnie pan chyba za intruza? Czy wiadomo już panu o zajściach, które poprzedziły tę sprawę?

— Tak! Coś niecoś o tym słyszałem.

— I jakie jest pańskie zdanie?

— O ile mogłem się zorientować, to człowiek ten postradał zmysły ze strachu. Leżał on już długo w łóżku, na co wskazuje wgłębienie, które jest dosyć duże. Wie pan, iż samobójstwa odbywają się najczęściej około piątej rano. Mniej więcej o tej właśnie godzinie powiesił się. To bardzo prosta sprawa. Tak mnie się przynajmniej wydaje.

— Sądząc po zeszywnieniu mięśni, zgon musiał nastąpić przed trzema godzinami — zauważyłem.

— Czy zaobserwował pan w pokoju coś szczególnego?

— Zauważyłem na umywalni śrubokręt i kilka śrub. Zdaje się również, iż denat dużo palił w ciągu nocy. Oto niedopałki czterech cygar, które znalazłem w kominku.

— Hm — mruknął Holmes — czy ma pan jego cygarniczkę?

— Nie, nie znalazłem żadnej.

— A pudełko od cygar?

— Tak, miał je w kieszeni marynarki.

Holmes otworzył je i powąchał znajdujące się tam jedno jedyne cygaro.

— O! To jest havana, a tamte pozostałe to cygara specjalnego gatunku. Importują je w specjalnych opakowaniach słomkowych Holendrzy ze swych kolonii wschodnioindyjskich. Ze względu na swą długość są nieco cieńsze niż cygara innej marki.

Podniósł niedopałki czterech cygar i zbadał je dokładnie przy pomocy kieszonkowego szkła powiększającego.

— Dwa z nich wypalono w cygarniczkach, a dwa bez — powiedział. — Dwa przycięte tępawym nożem, a dwa obgryzione wspaniałymi zębami. Nie, Mr Lanner, to nie samobójstwo! Mamy tu do czynienia z niezwykle dokładnie uplanowanym morderstwem. A dokonano go z zupełnie zimną krwią.

— Niemożliwe! — krzyknął inspektor.

— A to dlaczego?

— Po cóż mordować człowieka w tak kłopotliwy sposób?

Dlaczego miano by go wieszać?

— To właśnie mamy ustalić!

— Ale w jaki sposób dostali się do niego?

— Przez drzwi frontowe.

— Przecież rano były zamknięte!

— A więc zamknięto je potem.

— Skąd pan to wie?

— Widziałem ich ślady. Teraz przepraszam pana na chwilę, nieco później będę mógł udzielić dalszych informacji w tej sprawie.

Podszedł ku drzwiom. Kilka razy przekręcał zamek, badając go we właściwy sobie sposób. Następnie wyjął klucz i również dokładnie go obejrzał. Potem kolejno zlustrował łóżko, dywan, krzesła, gzyms nad kominkiem, zwłoki i postronek. W końcu uznał dokonane oględziny za wystarczające. Z pomocą inspektora i swoją odciął zwłoki nieszczęśnika i nakrył je z szacunkiem prześcieradłem.

— Skąd wziął się ten sznur? — zapytał.

— Odcięto go z tej liny — odpowiedział dr Trevelyan, wyciągając spod łóżka wielki zwój. — Blessington chorobliwie bał się pożaru. Zawsze więc miał u siebie sznur, aby mógł się wydostać przez okno, w razie gdyby pożar objął schody.

— To rzeczywiście musiało nań działać uspokajająco — powiedział Holmes w zamyśleniu. — Tak! Sprawa jest zupełnie jasna! Dziwiłbym się, gdybym do popołudnia nie dostarczył panu przekonywujących dowodów. Wezmę fotografię Blessingtona, stojącą na gzymsie kominka. Może mi być pomocną w poszukiwaniach.

— Pan nam jednak niczego jeszcze nie wyjaśnił — zawołał doktor.

— Och! Przecież nie ma żadnych wątpliwości co do biegu wypadków. Było tu trzech „gości”: ten stary pacjent, młodzieniec, i trzeci, którego na razie nie potrafię zidentyfikować. Pierwsii dwaj, o czym właściwie nie potrzebuję chyba nadmieniać, to ci sami, którzy podawali się za rosyjskiego hrabiego i jego syna. Mogę nawet podać dokładny rysopis każdego z nich. Do domu wpuścił ich wspólnik zbrodni. W związku z tym, inspektorze, radziłbym panu zaarrestować odźwiernego. O ile dobrze zrozumiałem doktora, pełni on tu służbę dopiero od niedawna.

— Tego małego czorta nigdzie nie można znaleźć — wtrącił dr Trevelyan. — Już go szukali pokojówka i kucharz.

Holmes wzruszył ramionami.

— Odegrał on ważną rolę w tym dramacie. Trzej osobnicy weszli po schodach, skradając się na palcach. Pierwszy postępował stary, za nim młodzieniec, a nieznajomy na ostatku.

— Ależ drogi Holmesie...! — wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

— Och! Co do tego nie może być żadnej kwestii. Świadczy za tym nakładanie się śladów stóp. Ustaliłem dalej, co działo się tej nocy. Otóż przyszli oni do pokoju Blessingtona. Drzwi zastali jednak zamknięte na klucz i zmuszeni byli otworzyć je przy pomocy drutu. Nawet bez szkła powiększającego dostrzeżesz rysy tam, gdzie silniej naciskano.

Pierwszą ich czynnością po wejściu do pokoju było obezwładnienie Mr Blessingtona. Nie wiadomo, czy spał, czy po prostu strach tak go sparaliżował, iż nie mógł wydać z siebie głosu. A jeśli nawet zdążył krzyknąć, to najprawdopodobniej nikt go nie usłyszał. Grube ściany zagłuszyły bowiem wszelkie odgłosy.

Sądzę, że następnie odbyła się narada. Przypuszczalnie miała ona charakter procesu sądu kapturowego. Trwało to pewien czas. Właśnie wtedy palono cygara. Starszy osobnik zajął miejsce w tym wiklinowym fotelu. On to używał cygarniczki. Młodzieniec musiał chyba siedzieć wyżej nad tamtym, gdyż strząsał popiół na komodę. Trzeci chodził tam i z powrotem po pokoju. Blessington siedział — jak myślę — wyprostowany w łóżku. Tego jednak nie jestem zupełnie pewny.

Zakończyło się to wszystkim powieszeniem Blessingtona. Moim zdaniem — sprawa była przedtem bardzo dokładnie

przygotowana. Przynieśli oni nawet z sobą coś w rodzaju bloku, który miał spełnić rolę szubienicy. Przypuszczalnie blok umocowano by przy pomocy tego śrubokręta i śrub. Gdy jednak zobaczyli hak, zaoszczędzili sobie zbędnego trudu. Dokonali swego i uciekli, a ich wspólnik zamknął od wewnątrz drzwi na zasuwę.

Wszyscy słuchaliśmy z zapartym tchem opowiadania o wypadkach minionej nocy. Holmes wydedukował cały tok wydarzeń z tak nikłych i delikatnych śladów, że nawet gdy je nam tłumaczył, z trudem mogliśmy nadążyć za jego rozumowaniem.

Inspektor niezwłocznie udał się na poszukiwanie odźwiernego. Natomiast Holmes i ja wróciliśmy na Baker Street, aby zjeść śniadanie.

— Będę z powrotem przed trzecią — rzekł, gdy skończyliśmy posiłek. — Inspektor i doktor przyjdą tu o tej właśnie godzinie. Sprawa ma jeszcze kilka niejasnych punktów. Do tego czasu spodziewam się wszystko wyjaśnić.

Nasi goście przybyli o oznaczonej porze, natomiast mój przyjaciel zjawił się z piętnastominutowym opóźnieniem. Po jego wyglądzie, poznałem, iż wszystko mu poszło dobrze.

— Co nowego, inspektorze? — zagadnął.

— Złapaliśmy odźwiernego, sir.

— Wspaniale! A ja mam resztę!

— Ujął ich pan?! — zawołaliśmy wszyscy trzej jednocześnie.

— No, w każdym razie zidentyfikowałem ich. Ten tzw.

Blessington był znanym przestępcą, podobnie jak jego mordercy. Oto nazwiska pozostałych: Biddles, Hayward, i Moffat.

— Banda ze sprawy banku Worthingdona! — zawołał inspektor.

- Tak jest — odparł Holmes.
- W takim razie Blessington to Sutton?!
- Zgadza się — potwierdził Holmes.
- A więc wszystko jasne jak kryształ — powiedział inspektor. Jednakże my z Trevelyanem patrzeliśmy na siebie wzajemnie zupełnie oszołomieni.
- Z pewnością przypominasz sobie głośną sprawę banku Worthingdona — powiedział Holmes. — Zamieszanych w nią było pięciu ludzi. Tych czterech i piąty nazwiskiem, Cartwright. Zamordowali dozorcę Tobina i uszli ze skradzionymi siedmioma, tysiącami funtów szterlingów. Działo się to w roku 1875. Wszystkich pięciu aresztowano, jednak nie było przeciw nim wystarczających dowodów. Dopiero ten Blessington, czyli Sutton, najgorszy z całej bandy, począł sypać. Na podstawie jego zeznań powieszono Cartwrighta, a trzech pozostałych dostali po 15 lat więzienia. Kiedy wyszli na wolność po odbyciu kary, poprzysięgli sobie — jak możesz się domyślać — pomścić śmierć towarzysza. Trzeba było wytropić zdrajcę. Dwa razy próbowali się do niego dostać, lecz bezskutecznie. Za trzecim razem, jak już wiesz, udało im się go dosięgnąć. Cóż jeszcze mam wyjaśnić, doktorze Trevelyan?
- Moim zdaniem, wszystko pan już wyjaśnił — odrzekł doktor. — Pewnego dnia przeczytał on zapewnię w gazetach o zwolnieniu ich z więzienia i to stało się powodem jego wyjątkowego zdenerwowania. To nie ulega wątpliwości.
- Tak jest. Jego wzmianki o włamaniu były tylko wybiegiem.
- Ale dlaczego nie chciał on panu o tym powiedzieć?
- Mój drogi panie. Znał on dobrze mściwość swych dawnych kolegów. Dlatego też tak długo, jak tylko było możliwe, nie chciał nikomu zdradzić swego prawdziwego nazwiska. Zresztą

nie mógł przemóc się, aby wyjawić swą haniebną tajemnicę. Chociaż z drugiej strony nędznik ów znajdował się pod ochroną prawa brytyjskiego. Widać stąd jednak, że nawet taka ochrona może zawieść tam, gdzie sprawiedliwość wymaga zadośćuczynienia.

Oto garść szczegółów dotyczących chorego rezydenta i doktora z Brook Street, Policja nie ujęła trzech morderców. W Scotland, Yardzie przypuszczano, iż znajdowali się na pokładzie parowca „Norah Crejna”. Statek ten zatonął przed paru laty u wybrzeży Portugalii, kilka mil na północ od Oporto. Nikt się z niego nie uratował.

Postępowanie karne przeciwko odźwiernemu umorzono z braku dowodów. Cała sprawa jeszcze do dziś nie doczekała się wyczerpującego omówienia w prasie. Nazwano ją „Tajemnicą Brook Street”.